

DNI KULTURY ROSYJSKIEJ FSRR

Jeszcze działa u nas stowarzyszenie miłośników poezji i szlachetnego serca pani Marii z Wasilkowskich Jarosławowej Konopnickiej, a ulice nazywają się od Trzech Wieszczów, jeszcze TV ponudzi od święta swoją masową widownię, nadając rozmowę z poetą, którego wierszy ta widownia nie ma zamiaru słuchać, jeszcze prosperują krytycy poetycy, ale poezji już się u nas nie czyta. Chyba, że w szkole, bo zadane, albo przygotowując się do konkursu recytatorskiego, ale jakże rzadko dla rzeczywistej potrzeby takich lektur. Stało się tak, że czytelnicy poezji wymierają jak raki, nie tylko u nas zresztą, także w wielu innych krajach, zwłaszcza na Zachodzie.

Ale obok, o kilkaset kilometrów, za granicznym Bugiem dzieje się zupełnie, ale to zupełnie inaczej. U nas tomik wierszy wychodzi w sześciuset egzemplarzach, po czym płowieje w księgarnianym kurzu, tam nakład stu tysięcy przy książce nie starego jeszcze poety to rzecz całkiem normalna, a i nakład trzystu tysięcy nie należy do rzadkości. Poeci Rosji mają czytelników nadal, są nie tylko czytani, zachowali wiele, może prawie wszystko, ze swych dziewiętnastowiecznych funkcji przewodników moralnych narodu, coś z owego kapłaństwa, które i u nas celebrował chociażby Mickiewicz.

Chyba niezbyt trudno dociec przyczyn, dla których Rosjanie nie przeprowadzili się, jak poeci tylu innych narodów, do zakurzonej Wieży z Kości Słoniowej. Sądzę, że nie musieli tego czynić, ponieważ kontynuują pisarstwo służebne, w najszlachetniejszym znaczeniu usługowe, co nie znaczy, by było to pisanie dworskie lub dworackie. Poezja rosyjska zachowała ową zadziwiającą umiejętność prowadzenia interesującej i pożytecznej dla obu stron rozmowy ze swoim czytelnikiem, tym świadomym, „kulturalnym”, który potrafi konwersować z każdym poetą i o wszystkim, nieczym wytrwały bywał dyplomatyczny przyjaciel, ale i z tym zwyczajnym, prostym, szeregowym, przypadkiem na ulicy zagadniętym człowiekiem. Jest to umiejętność, która zawsze właściwa była wielkim poezjom i naprawdę dobrym poetom, jednakowo za Homera, który równie zaciekawiał filozofów i pastuchów, na Nizamię, którego studiowali astronomowie i znali na pamięć analfabeci, za Mickiewicza, który pisał dla swoich wykształconych studentów przyjaciel, a szczylił się, że łaskę ma u ochmi-strzyni cór.

Ma tę umiejętność Bułat Okudźawa, po rosyjsku piszący i w Moskwie wychowany syn Gruzi- na i Ormianki, poeta dziś czterdziestopięcioletni. Ten chudziutki, czarniawy pan, który za młodu był żołnierzem, bo była wojna, a potem nauczycielem, bo wrócił z frontu żywy i lubił literaturę, to człowiek, który dokonał cudu, który jakoś tak nie- chcący i sam nie wiedząc kiedy,

zrobił coś, o czym marzyły setki poetów — przywrócił dawne, w społeczeństwach pierwotnych jeszcze obowiązujące stosunki, panujące między utworem lirycznym a czytelnikiem. Okudźawa nie zajmuje się wydawaniem kolejnych książek, pisanem nowych tomików wierszy. Te nowe jego tomiki ukazują się oczywiście, ale on ich nie pisze. Książki te układają się same i jest to już jakiś dość późny etap w życiu składających się na nie utworów. Okudźawa nuci sobie po prostu, ale nuci tak, że wszy-

Witold Dąbrowski

Poezja rosyjskich przyjaciół

stko co zanuci staje się z miejsca własnością jego odbiorców — nazwijmy ich, dość umownie, czytelnikami — i zaczyna żyć samodzielnym, ludowym, niezależnym już od Okudźawy, życiem. Okudźawa, poeta wysokiej próby i wcale nie przyziemnego lotu, po prostu wrócił na miejsce, z którego dość już dawno wypchnęli poetów niezdarni wersyfikatory, wycywanieni rymopisowicze, układający tak zwane teksty, czyli słowa piosenek. Nie, Okudźawa nie pisze tekstów piosenek, jak ci, którzy dostarczają sylab do wykrzykiwania naszym zespołom bitowym, on pisze prawdziwe, najprawdziwsze liryki, tyle tylko, że jego wiersze stają się natychmiast słowem śpiewanym i odlatują. Kto chce może się przekonać sam — płta z kilkunastoma balladami i lirykami Okudźawy ukazała się właśnie po polsku. To płyta wyjątkowa. Dotąd bywały płyty, na których poeci recytowali swoje wiersze i wiele, wiele płyt z piosenkami — płta Okudźawy jest i jednym, i drugim zarazem.

I nie najważniejsze wcale jest tu to, że Okudźawa śpiewa. Wątpię, czy przyjęto by go do klasy śpiewu w konserwatorium. Śpiewał swoje, jakże popularne, wiersze Aleksander Wertyński, ale od samego śpiewania wiersze Wertyńskiego nie stały się dobrą poezją.

Okudźawa nie jest już sam. Na tejsze zasadzie żyją w ludzie rosyjskim śpiewane wiersze Gorodnickiego, Matwiejewej, Galicza, Wysockiego i wielu innych poetów różnego talentu i różnej siły głosu, ale — poetów, nie tekściarzy.

Przygasił po półwieczu romantyczny porów rewolucji, ludzie w Związku Radzieckim żyją coraz normalniej, pracują, kochają się, uczą i myślą. Społeczeństwo tam tak zostało urządzone, że sprzyja nauce, a wiedza sprzyja myśleniu. Europeizująca rewolu-

cja kulturalna, zaplanowana niegdyś przez bolszewików, wydała po latach pięćdziesięciu piękne owoce — ludzie dużo wiedzą i sprawnie myślą, mają nawyk myślenia i wielką ciekawość świata. Może dlatego społeczeństwo tamtejsze stwarza pewnie znaczne zapotrzebowanie na lirykę filozoficzną, skoro tej liryki we współczesnej poezji rosyjskiej tak dużo.

Sześćdziesięcioletni już Leonid Martynow, to bardzo osobna w tej poezji postać. Jak Goethe mineral, tak Martynow zbiera po podmoskiewskich polach wyorane otoczaki, kolekcjonuje je i w najzwyczajniejszym z pozoru brukowcu umie dostrzec i ukazać innym nieprze-czuwany, zdumiewający i całkiem wyjątkowy kształt, tajemnicze życie kamieni. Ten dar dostrzegania pasjonującej niezwykłości w ludziach, przedmiotach i sprawach z pozoru najpowszedniejszych właściwy jest także wierszom Martynowa. Jak dziecko, albo jak prawdziwy poeta, właśnie Martynow potrafi mówić mądrze i ciekawie właściwie o wszystkim, ale głównie o rzeczach tak bardzo dobrze znanych, że nie widziało się w nich niczego interesującego. Jak król Midas z greckiej mitologii, pod którego dotknięciem wszystko przemieniało się w złoto, Martynow czego by się nie dotknął przemienia w poetycką myśl. I każdy go rozumie, każdemu się wydaje, że te fantastycznie ciekawe rzeczy, które opowiada Martynow, są właściwie zupełnie oczywiste, każdy czytelnik ma wrażenie, że tylko przypadkiem sam na to nie wpadł już dawno. A takie wrażenie czytelnika, to pierwszy i nieomylny znak, po którym rozpoznaje się naprawdę dobrą literaturę.

W kraju, który ma wielu dobrych czytelników, jest wielu dobrych poetów i grubą trzeba by napisać książkę, by wszystkich ich wymienić, a jeszcze o każdym powiedzieć coś konkretniejszego. Na pewno trzeba by jeszcze i o Eugeniuszu Winokurze, majstrze małej, filozofującej przypowieści o tym, jak żołnierze szli do łaźni i jednemu rozwiązał się owijacz, albo o tym, jak autor kupował w sklepie spożywczym dwadzieścia deka żółtego sera. Trzeba by jeszcze o Eugeniuszu Jewtuszence, długim chłopcu, jak znak zapytania, który krzyczy swoje wiersze z estrad jak niegdyś krzyczał je Majakowski i jak Majakowski ma setki tysięcy wielbicieli, bo wielki jest i kunszt retoryczny i szlachetny, moralny patos tych wierszy.

Trzeba by jeszcze o Andrzeju Wozniesińskim, którego wiersze są tak nowoczesne, iż nierosyjski czytelnik, któremu bliżej do różnych europejskich awangard niż do Puszkina, często skłonny jest uznawać je za najciekawsze zjawisko poetyckie Rosji ostatniego dziesięciolecia, tej Rosji, w której nie ma już między żywymi Pasternaka i Achmatowej. Trzeba by jeszcze o Borysie Szuckim, o Arseniuszu Tarkowskim, o Achmadullinie, o Brodskim o wspaniałym, skoń-nookim Ołżasie Suleimenowie z Alma-Aty, o tyłu innych. Ale to przecież tylko felieton. Który, oby zachęcił do sięgnięcia po wiersze tych poetów, dostępne i w polskich przekładach w antologiach rozmaitych i w osobnych tomikach Okudźawy, Wozniesińskiego, Jewtuszenki, Martynowa, Winokurowa, Szuckiego, Twardowskiego, Samojłowa.

(AB)

Eugeniusz Winokurow

Pół minuty

Zatroskana weszłaś, zasmucona.
Nie piosz słowa wylekłego. Wiesz,
Ze w sercu drży niedokończony,
Jeszcze nawet nie zaczęty wiersz.
Jakby mokra droga szła z daleka,
Jakbym widział gwiazdy, brzozy, deszcze...
Więc zaczekaj, proszę cię, zaczekaj,
Pół minuty chciej zaczekać jeszcze.



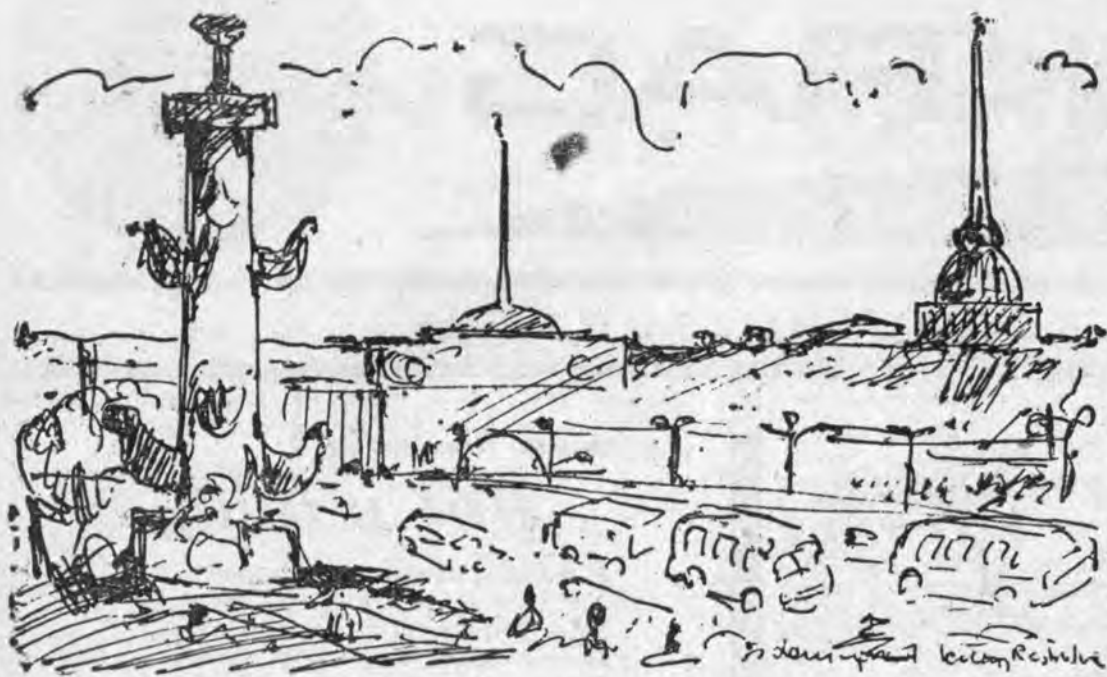
Brzozy ścianą przy drodze wyrosły —
Smukłe, czyste i niespokojne.
Zasadzili je ludzie na wiosnę
Z dobrej woli, cierplivej i znojej.
Nie wiem nawet, co to za ludzie,
Gdzie ich domy, gdzie strony ojczyste.
Niech im życie odplaci po trudzie
Niespokojne i smukłe, i czyste.

Z rosyjskiego przełożył
JERZY PLEŚNIAROWICZ



W Leningradzie.

Rys. E. KIEFERLING



Leningrad.

Rys. E. KIEFERLING

Edward Kieferling

Rosyjskie spotkania

Nie my pierwsi...

Tania w moskiewskim związku plastyków przyniosła kawę i z miłym uśmiechem zabawia nas rozmową w czasie nieobecności przewodniczącego. Mnie i kolegów Mariana Stachurskiego jak i Ewalda Gorola interesuje aktualna sytuacja w radzieckich środowiskach twórczych. W toku rozmowy dowiadujemy się, że aktywizacja tych środowisk postępuje obecnie w tempie przyspieszonym, że rozwija się ambitne środowisko leningradzkie i wiele innych dotychczas jakoby peryferyjnych ośrodków w stosunku do moskiewskiego związku plastyków.

Młodzi plastycy radzieccy wzięli na swe barki trud odnowy życia plastycznego i podjęli ambitne dzieło oparcia działalności twórczej na nowych i konsekwentnych zasadach. Jednak zmodyfikowanie myślenia plastycznego nie jest procesem łatwym, szczególnie u plastyków starszego pokolenia. Przy okazji wysłuchaliśmy wiadomości o ciekawych przypadkach i konsekwentnych zasadach. Jednak zmodyfikowanie myślenia plastycznego nie jest procesem łatwym, szczególnie u plastyków starszego pokolenia. Przy okazji wysłuchaliśmy wiadomości o ciekawych przypadkach i konsekwentnych zasadach.

Obiecując solennie zajrzeć raz jeszcze i żywiąc niepełną nadzieję, że przewodniczący odnajdzie się szybko po powrocie z „daczy”, żegnamy Tanię, która oświadcza nam, że Włodek Buczek, przewodniczący ZG ZPAP przyjeżdża wkrótce do Moskwy dla zapoznania się z aktualną sytuacją w związku plastyków radzieckich, z zamiarem przeniesienia niektórych doświadczeń na grunt polski.

A zatem nie my pierwsi, i nie ostatni...

Sprawa jest o tyle paląca, że ZPAP mimo licznych subwencji Ministerstwa Kultury i Sztuki nie posiada u nas tak solidnej podbudowy ekonomicznej i organizacyjnej, jaką stanowi radziecki „FOND”, wspierający tak finansowo, jak i organizacyjnie Związek Plastyków, niezależnie od Ministerstwa Kultury, współistniejąc nieomal równolegle. Wśród kolegów radzieckich słyszy się głosy „co jest ważniejsze, czy związek plastyków, czy „FOND”? Wydaje się jednak, że są to dyskusje formalne nie umniejszające roli i charakteru tej organizacji. „FOND” przydziela bowiem stypendia, opiekuje się absolwentami uczelni plastycznych i subwencjonuje ich do czasu osiągnięcia pełnej dojrzałości twórczej, zaopatruje w materiały, po-

wołuje wspólnie ze związkiem komisje oceny prac artystów. Jednym zdaniem jest taka sobie dobra choć trochę surowa ciocia opiekująca się artystami i spełniająca przy okazji rodzaj mecenatu artystycznego.

Pozostałe dni poświęcamy na zwiedzanie galerii, muzeów oraz skarbca kremlowskiego. Moskwa wieczorem wygląda oryginalnie i pięknie. Złote kopuły kremlowskie odbijają promienie zachodzącego słońca, głębokie cienie kładą się na dziwnej i nie dającej się z niczym porównać bryle soboru Wasyla Błażennego, na basztach Kremła zapalają się czerwone gwiazdy...

Tłum moskwian śpieszy, by dokonać zakupów w GUMACH i sklepach. Na ulicy Gorkiego barwny tłumek cudzoziemców zaopatruje się w rosyjskie „suweniry”.

Mamy „wypad” do Zagorska. Ikonostas Rublewa i koncerty dzwonek urzekają każdego cudzoziemca, zabytki starej sztuki rosyjskiej w jej nieprzebranym bogactwie powodują zawrót głowy. Szkoda, że tak niewiele wydaje się popularnych „pocztówek”, które można by kupić na miejscu, aby przesłać znajomym chociaż nowoczesne i coraz lepsze foldery zalegają stoliki i regały w nowoczesnych hotelach.

Szosa okoloną starymi domami o fasadach z koronkowej snycerki wracamy z Zagorska do Moskwy, by następnie po krótkim wypoczynku wyruszyć do Leningradu, drugiego ośrodka sztuki radzieckiej.

Towarzysz Eugeniusz Malcew, przewodniczący leningradzkiego związku plastyków siedział za dużym, bilardowego formatu, zielonym biurkiem i przyjmował jakiegoś Wenezuelczyka. Na nasze życzenie, że pragniemy zobaczyć w nim całego człowieka, wyszedł z mebla i okazał się przemiłym Zenią, w którego pracowni strawiłmy długie godziny na owocnych dyskusjach, rozstrzygając zawiłe kwestie twórcze przy szklanicy dobrego rosyjskiego czaju prosto z samowara. Gorol-Nemrod znany medalier „zwierzobójca” trafił wreszcie na prawdziwego myśliwego, bo Zenia jako sybirak miał i w tej dziedzinie wiele do powiedzenia, legitymując się skórą ussuryjskiego tygrysa zdartą własnoręcznie z grzbietu starego rozbójnika.

Duże płótna oparte o ściany pracowni prowokowały dyskusje nie kończące się późną nocą...

Drugi z plastyków leningradzkich Gaga Kowienczuk przyjął nas w swojej pracowni, a właściwie mieszkaniu-pracowni z całą starorosyjską wylewnością i serdecznością i pokazał co aktualnie robi. Jest grafikiem współpracownikiem pisma młodych „AURORA” ambitnym, dowcipnym i czynnym artystą. Żanna, jego żona, wnuczka emigranta polskiego słucha starej polskiej płyty i atakuje mnie zienacka: „a Leszka Hołdanowicza ty znasz?” Od razu robi się gwarnie, wypytywanie o wspólnych znajomych (Kowienczukowie odwiedzali niedawno Polskę) wesoło i po domowemu.

Gaga również pisze i to dużo i dobrze, a w międzyczasie, jak sam twierdzi, projektuje plakaty, książki i foldery. Na zakończenie wizyty prosi mnie o rysunki do „AURORY”. Marian coś tam rysuje, zdaje się lajkonika i wycinankę łowicką, składamy pod tym zaimprovizowanym obrazkiem nasze podpisy i żegnamy gościnnych gospodarzy. Do zobaczenia w Polsce.

Leningrad porównują, ze względu na jego urodę, do Wenecji, nazywają go nawet Wenecją Północy, a szerokie przemy kryjące ciała poległych obrońców miasta w czasie blokady 1941-1943 żołnierzy, cywilów i dzieci na cmentarzu piskariowskim mówią o bohaterstwie jego mieszkańców. Atmosfera powagi, delegacje, turyści, wśród nich także Niemcy. Dziwnie poważnieją przed zdjęciem i pamiętnikiem Tani Sawiczej, która zanotowała w nim o śmierci swoich najbliższych. Na niektórych ulicach pozostawiono napisy: „Obywatele, ulica pod obstrzałem”, które przypominają... Czy tylko blokadę?

I znowu muzea i niekończące się galerie, Ermitaż, pałace pełne dzieł sztuki. W Ermitażu trafiamy na wystawę Matisse'a.

Ryk syren okrętowych, do nadbrzeży podpływają statki wycieczkowe i wodoloty. Przycumowana u nabrzeża staruszka „Aurora” podobno odbyła swój ostatni rejs w czasie blokady wspierając ogniem swych dział obrońców miasta. Słońce stoi równo i nisko. W wodach Nowy odbijają się mury twierdzy Petropawłowskiej.

Zwiedzamy Peterhof i jego słynne fontanny, oglądamy autentyczny domek Piotra I, a wieczorem, oczywiście, słynny balet leningradzki i już trzeba przygotować się do lotu na dalekie południe. Do zobaczenia przyjaciele w Polsce!

Dni Filmu

Bracia czyli dramat

„Bracia Karamazow” byli ostatnią książką Dostojewskiego; „Bracia Karamazow” są ostatnim filmem Iwana Pyriewa. W tej nieubłaganej, biologicznej konieczności odchodzenia twórców, kładących swój podpis pod dziełem ze wszech miar godnym długich dyskusji nietrudno dostrzec smutną zbieżność: książka jest syntezą filozofii Dostojewskiego — film ukoronowaniem pełnego pasji pyriewowskiego dociekania, co w tej filozofii próbuje czas demaskować, a co w niej ponadczasowe, dla czasu nietykalne.

Pyriew zaczął swój filmowy romans ze spuścizną Dostojewskiego przed 11 laty, kiedy przeniósł na ekran „Idiotę”, a w rok później „Białe noce”, zmienione w tytule na „Noc nad Nową”. Kiedy powstał zamysł adaptacji filmowej „Braci Karamazow” — Pyriew musiał zdawać sobie sprawę, że ekranizacja ponad tysiąc stron druku liczącej powieści, wielowarstwowej, kłębiącej się od namietności, naspikowanej filozofią, rozważaniami nad ludzką naturą, poprzez fabułę zwykłego romansu kryminalnego szukającą rozwiązań ostatecznych, wadzącą się z Bogiem i przyjmującą jego istnienie, choć odtrącającą ów podle urządzony świat boży; powieści wielowarstwowej niczym cenna polichromia, którą zdzierasz i pod pierwszym malowidłem następnym odkrywasz — że ta ekranizacja, jeżeli się uda, będzie także syntezą jego dorobku artystycznego.

Nie skończył filmu. Jest coś tragicznego w tej niemożności obejrzenia własnej pracy (skończyli film dwaj wybitni aktorzy, główni protagoniści — Dymitr i Iwan — Michaił Ulianow i Kirill Ławrow), tym bardziej tragicznego, że niewiele już pozostało do skończenia po jego śmierci.

Film jest wstrząsający i film jest kompozycyjnie nierówny. Ekspozycja niczym w teatrze zaczyna się od wielkiego sporu, którego rozstrzygnięcie złożyli Karamazowie w święte ręce starca Zosimy; przedtem pustelnia, korowody popów, szkaradne, rozmodlone baby, cudownej piękności cerkiewki z świętymi o groźnych oczach i kolor, kolor, przeciw któremu wstrząsa się nasze prywatne wyobrażenie ekranowe przy Dostojewskim. Kiedy mija ten moment ekspozycji, w której już słychać historyczne tony, ale niewiele pozwała przypuszczać, że to zapowiedź krzyku namietnego — Pyriew przystępuje do organizowania materiału powieści i bierze już tylko to, co nieodwołalne do prezentacji karamazowszczyzny — ów pospolity romans Mitii z Gruszeńką, rywalizację z ojcem, zabójstwo i proces. Resztę zostawia; reszty nie tyka. Fabułę nieco chropawą, która wyraźnie się rwie, kto wie, czy dla widza przystępnego do oglądania filmu bez podkładu powieści nawet logicznie powiązaną — tę fabułę traktuje nieco niecierpliwie jako pretekst do wielkich scen



W gastronomii.

Rys. E. KIEFERLING

Rosyjskiej FSRR

Karamazow istnienia

filmu, gdzie bohaterowie zaczynają spór o duszę i pogoń za najwyższą zasadą moralną. I tu film zaczyna być wstrząsający, dostojewski z ducha, myśli; pyriewski w interpretacji. Zarliwej, wiernej, szukającej rozumienia tam, gdzie mogłaby grozić powierzchowność czy zwykłe gadulstwo. Pyriew podejmuje spór z Dostojewskim — Pyriew nie może tego sporu nie podjąć wtedy, kiedy „karamazowszczyznę” Dostojewski przedstawi jako charakterystykę rewolucyjnego żywiołu rosyjskiego, ale zaczyna ten spór bynajmniej nie od negacji postawy pisarza, lecz od wewnętrznej analizy Karamazowów; rysując to społeczne, urealnijając sytu-

dla tych paru scen warto było przekreślić nasze własne wyobrażenia o kolorystyce powieści.

Dostojewski pisał „Braci Karamazow” w oparciu o autentyczny proces, który znalazł wyjaśnienie po latach i ono dopiero uwolniło od syberyjskiej katorgi porucznika Ilińskiego, osadzonego za niepopelnione zabójstwo ojca. Dla Dostojewskiego w ogóle znamienne były te realne postacie bohaterów, jakas reporterska pasja przeniesienia faktów do literatury. U Pyriewa nie interesuje mnie fabuła, czasem może niepotrzebnie nawet rozbudowana. U Pyriewa w „Braciach Karamazow” zobaczyłam przede wszystkim wielką dysputę o sens świata,



ację Rosji lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, osadza w nim braci Karamazowów jak wyspę, podmywaną walką przeciwieństw. Ich samotność, zagubienie są tym dotkliwsze; ich wewnętrzne spory o sens życia, o ową harmonię społeczną, w której Bóg znaczy moralność — tragicznym kontrpunktem kładą się na rosyjskiej rzeczywistości. I choć jest to zabieg wbrew temu, co przedstawia proza Dostojewskiego, nie jest on równoznaczny z brutalnym protestem przeciw filozofii pisarza. Tę Pyriew zostawia niekniętą: powtarzam, chce ją zrozumieć. Zdaje mi się, że uczciwość Pyriewa wyszła z tej ekranizacji ocalała; co więcej — że wrażliwość moralisty innej epoki wyszła naprzeciw wrażliwości autora „Zbrodni i kary”.

Tym filmem, gdzie wszystko ociera się o granice wytrzymałości psychicznej widza, gdzie dominuje ton uczuć najwyższy, gdzie dramata osłaga szczyty rządzi poza tym niepowtarzalny klimat. I klimat ten buduje w jakimś stopniu kolor. Nie natrętny, zgaszony w ogólnej tonacji; groźny, płomienny wtedy tylko, gdy namietności przechodzą w szaleństwo. Piękna, subtelna scena, w której kolor staje się wyznacznikiem psychologicznych doznań w czasie hulanki w Mokrem, kiedy w kowrowodzie szalejących Cyganów przewinie się pasowa bluzka i przytępi opętanczą wesołość Dymitra; rdzawy, błotny pejzaż jesiennej pustkowi, gdy przemknę obok czapiącego brata Iwan w kolasce, wściekła, odróżniająca czerwienią tapet sypialni Gruszeńki, gdy stało się morderstwem, mglistą szarością zadymkami śniegowej pośród kurnych chałup, kładącą się rozpaczyliwa niemożności czynu na wzburzony umysł Iwana — choćby

zrozumienie dla owej miłości człowieka, biorącej początek w jego cierpieniu — tak znamienne dla twórczości Dostojewskiego.

Rozmowa Iwana z Aloszą na zapleczu obscurnego szynku, owo „czy jest Bóg” i owo „nie godzę się na taki świat boży”, ów spór z biesem, z którego natura ludzka wychodzi zwycięsko, nawet jeśli przyjdzie jej płacić cenę utraty rozumu, owo egzekwowanie kary w przypadku Smierdiakowa, owo poszukiwanie drogi przez młodziutkiego Aloszę, przyszłego bohatera napisanej acz planowanej drugiej części dialogu „Braci Karamazow” — oto dlaczego ten film wydaje mi się wstrząsający, najlepszy, jaki kiedykolwiek zaproponował nam którykolwiek adapter filmowy powieści Dostojewskiego. Były już „Białe noce” Viscontiego, najlepsze chyba z tego, co zainspirowała ta niezwykle proza w kinematografii światowej; był to jednak film, w którym poezja i poszukiwania intelektualne rozjaśniały fragmenty zaledwie tej najosobliwszej filozofii; u Pyriewa jest klimat autentyczny, rosyjski z ducha, dostojewski z niecierpliwego szukania dna w naturze ludzkiej i szczytów czło-wieczństwa. Inna sprawa, czy każdy widz kinowy pokona meandry myśli, rwaca się, splątana fabule i potrafi iść za tokiem rozumowania reżysera? Zbyt skomplikowane to pytanie — bym mogła dać jednoznaczna odpowiedź. Jednak mimo ten niepokój, trzy godziny filmowych „Karamazowów” i tak pozostana w kręgu obcowania z wielką literaturą, w którym Haczy się przede wszystkim intelekt reżysera, wzbogacony świetnym aktorstwem.

KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

Krystyna Świercziwska

Przez sto lat księżyc odmieniał się złoty

Wisi i dziś nad basztą, lśniący. Przemyka po parku, drży na liściu spadłym, wypełnia ciszę Zamkowej Góry, samotny woźny, zawieszający swe światło na zniszczonych murach, wspierający mdłą żarówkę znad drzwi garderób najstarszego amatorskiego teatru w Polsce. Na sznurze przed garderobą łożoce u-prane prześcieradło — gdyby nie księżyc wpadłabym w prześcieradło i mogła grać ducha w „Zamku na Czorsztylinie”. Dzięki niemu — trafiam na zaplecze teatru i od tej pory jestem u fredrowców, dobrze mi u fredrowców, podglądam fredrowców, usiłuję zapamiętać fredrowców, rozeznaję się wśród fredrowców. A oni tymczasem napływają w tę setną jesień a piątą przed jubileuszem wieczór, napływają pod rękę z ich własną historią.

Pęczniej od nazwisk, a później od imion z jednym nazwiskiem — wszak mam do czynienia z towarzystwem dziedzicznie obciążonym teatrem: córka gra Klarę w „Zemście”, matka reżyseruje „Zamek na Czorsztylinie”, ojciec opracowuje scenografię, brat matki napisał „Mistrza” — a więc Genejowie, czyli dalszy ciąg rodziny Skowrońskich. Tak można by operować jednym nazwiskiem dla trójga, czworga fredrowców i mnożyć to nazwisko przez ilość synów, córek, żon i mężów, przez ilość lat, ilość ról, by wyszedł iloczyn jakości tego teatru, duch jego trwałości, tajemnicza ciągłości. Wybac mi historio, że cię nie uszanuję i za porządkiem wymieniać ich nie będę, bo nie mogę, bo miejsca nie staję; bom nie po historię dziś przyjechała, a po ten łut świeżej aktualności — tego co dziś i tylko dziś będzie się działo. Jeśli byś zaś upartością zwyciężył mnie miała — to tylko w tej części, która dziś tu zgromadzona, może ci się uda...

A dziś „Damy i huzary”. Której to już na przemyskiej scenie — czwarte, piąte, dziesiąte? Nie pamiętają — pamiętałby zapewne pan Zygmunt Felczyński, znakomity biograf „Fredreum” — ale po cóż zwracać mu głowę — czy to liczy się liczba? Siegam więc tylko po jego „Fredreum” i inne teatru przemyskiego, gdzie pomieścił program uroczystego wieczoru na 25-lecie istnienia Towarzystwa i znajduję tam Fruzję pani Wandy Fifagrowiczowej — dziś najstarszej aktorki „Fredreum”, matki Marii Nogowej — reżyserki „Dwóch teatrów”. Pani Fifagrowiczowa zagra za tydzień Matkę w komedii Szaniawskiego, uroki figlarnej Fruzji z „Dam i huzarów” cedując na Krysię Steblińską. A ta? Ta była tu gdzieś koło mnie, furknęła pasiatą spodnicą, zafalowała rzęsą spreparowaną przez kogo — może przez ucznia mistrza Rzesutki pana Karola Janickiego, który perukarskimi umiejętnościami od lat fredrowcom służy? — i pomknęła w kulisy, by przestraszyć Majora wzaniem przed pyską siostrzynie:

— Moja pani się kłania — tu dyg — i prosi pana do siebie...

— Odbyc potrzebę tę nie-szczęsną rozmowę — powie zalterowany pan Karol Trygalski i ze strachu przed Orgonową sflaczeje na nim mundur, pożyczony w Teatrze Słowackiego na jubileusz. Pan Trygalski poza tym jest nieco szczuplejszy niż krakowski major Fulde, przeto w mundurze się „nie czuje”, ale rozmowa będzie, jak ją zaplanowali wspólnie z drugim reżyserem — panią Marią Dobrzańską-Onuszkiewicz.

Głos suflera, pana Zbigniewa Grochowskiego, odbija źle usta-

wiona kulisa, Edmund — Porucznik za nią się tłumaczy, że umknął z warszawskiej konferencji, dwie noce nie spał, więc nie tylko nie zważa jak trzymać ręce, ale chwilami w tekst mu się wypycha fragment referatu do końca nie wystuchanego. Żeby odeprzeć więc natrętne myśli o właściwym zawodzie — trzaska obcasami i w tym siarczyszcie uderza konkury.

Pani Maria Trygalska — żona reżysera i drugi sufler kłopotuje się potem, czy było ją słyszać na widowni.

Czemuż oni tacy stremowani — bo przynajmniej się do tej tremy — wszak to dopiero próba generalna? Ale jaka próba! Kto obok nich? Stary fredrowiec, znakomity aktor, pierwszy mąż polskiego teatru (jeśli bywają damy — mogą i mężowie) sam pan Kazimierz Opaliński, któremu Major wrzeszczy w ucho roznidyjony:

— Coś to waćpan przed kobietami na mnie nagadał... to potwarz... I co tobie w to się mieszać. Powiedziałeś dwa tysiące razy: „nie uchodzi”, „nie uchodzi” i zrobiłeś swoje powinność...

— Ale majorze, majorze, co ty gadasz, co ty gadasz.

I robił Kapelan Opaliński — tę swoją powinność po paru dziesiątkach lat, ponownie na tej scenie, która kiedyś oglądała jego debiut. Robił tę powinność, miłą fredrowcom, dwa tysiące razy powtarzając „nie uchodzi” i miały one po dwatysiąckroć razy inną intonację, inny gest. Skupiła się w nich cała beznadzieja świata męskiego i... cała przewrotność świata męskiego, podbudowana chybkiem kroczeniem i iskierekami prześmichów w zmrużonych oczach, czyniąc z epizodu studium melanżu dobroduszości z kpina, pokaz warsztatu doskonałego na dalszy, długi użytek kolegów fredrowców.

A oni, wdzięczni mistrzowi, chcieli grać jak na premierze, by zgrupowanej grupie młodych laborantów ze szkoły medycznej, której dyktuje także długoletni fredrowiec — pan Stanisław Frankowski, pokazać, że amatorski teatr „Fredreum” jest godnym partnerem mistrza.

Kiedyśmy za kulisami gaworzyli z panem Opalińskim • Przemysłu, powiedział mi najpierw:

— Proszę pani — anim się spodziewałem, że zostanie wciągnięty w tak dobre przedstawienie, dojrz-

le, z bardzo dobrymi aktorami. Dać im pomoc, warunki — będą teatrem, którego się Polska teatralna nie powstydzi. Zrobili postępy kolosalne od czasu, kiedy i ja do nich należałem.

A później to już Kapelan — Opaliński w swojej księżej su-tannie, przemili i skromny, wspominał. Nie był w Przemyslu 22 lata — zastał go dziś pięknym i chodząc po rodzinny miasteczko czuje się zanurzony w dzieciństwo, opadają go obrazy z życia pięćdziesięciu lat, kiedy dał pierwszy, ale zupełnie pierwszy występ na przemyskim rynku, kiedy użądony przez osę wydał najprzenikliwszy krzyk, jaki słyszały polskie sceny, kiedy, jako 5-letni ryb-bak gwał z wędką znad Sanu przez miasto, próbując zatamować piastkami pierwszy krwotok z nosa i pewien rychłej śmierci, na głos odmawiał paciera, a ludzie pękali ze śmiechu. Może wtedy właśnie zaczęły się pierwsze kontakty z widownią, by dziś, po przeszło siedmiu dziesiątkach lat wrócić tu aktorem świadomym swej siły sceniczej?

Przemyskanie chcą wykorzystać mój pobyt, chcą mnie zobaczyć, rozmawiać — wiem — telewizja, film, trzeba zobaczyć, jaki też w życiu ten Opaliński. Ale to mnie ogromnie męczy, bo to są te nadprogramowe spektakle, przeciw którym protestują moje lata; ile jednak zdołam, tyle im siebie użyję.

Tu mistrz przerwał — bo zatriaszał się nagle, co tam na scenie bez niego i przemówił najczystszym fredrowskim za-pytaniem: „co się dzieje, co się dzieje”. Jeszcze czas — odkrzyknę aktorzy, a Rotmistrz z egzemplarzem aktorskim „Damy i huzarów” doskoczył do nas. W ten sposób stałam się świadkiem najkrótszej próby teatralnej, odbytej za kulisami, w trakcie trwania spektaklu na scenie. W przybliżeniu korytarzku Kazimierz Opaliński i fredrowiec Zbigniew Stypulkowski grali dla przypomnienia mistrzowi (ostatni raz Kapelana „robił” przed 20 laty). Scenę 14, aktu III „Damy i huzarów”.

- Gdzie jest Major?
- Nie wiem.
- Ja wiem, że wiesz.
- A nie wiem.
- Nie chcesz powiedzieć.
- Dalibóg, nie wiem.

I toczył się ten dialog, jak wystrzały karabinowe, bo nie było czasu i był to najlepszy



*Czytelniczka
Widnokrąg
w Racławie*
Przemysł 21 5 69
V. Opaliński
1369
1969

STULECIE

DZIAŁALNOŚCI

TOWARZYSTWA

IM. ALEKSANDRA FREDRY

W PRZEMYSŁU

*Dokończenie
na str. 2*

nauczyciel...

I rzeczywiście, coś tu nie gra! Czy będzie dobry nauczyciel z młodzieńca, który kolejno szukał szczęścia na architekturze, hutnictwie, by w końcu podjąć studia filologiczne w wyższej szkole pedagogicznej. Znam kilka zakładów kształcenia nauczycieli i właśnie dlatego nie przyłączam się do totalnej krytyki tych wszystkich, którzy podjęli w nich studia. Twierdzenia: „do tych szkół idą same wybiarki” (tzn. ci, którzy nie mieli szans na politechnikach, uniwersytetach czy akademiach medycznych), nie zrównoważą deklaracje o posłannictwie, wyjątkowym znaczeniu tego zawodu. Problem polega na tym, czy studia nauczycielskie i wyższe szkoły pedagogiczne potrafią psychicznie przygotować do wykonywania zawodu tych, którzy niejako z konieczności wybrali ten kierunek studiów. Odpowiadając na to pytanie z reguły podajemy znane nam przykłady. Na ogół nie dostrzegamy tych, którzy z przejęciem czekają na swoją pierwszą lekcję i na swoją pierwszą skromną pensję; ci się w oczy nie rzucają. Ci zawód wykonują niezależnie od tego, czy przed laty marzyli o sukcesach artystycznych czy o podboju kosmosu.

Spotykałem jednak absolwentów, których postawa już nie o burza, po prostu mierzi. Siedział taki młodziak pięć lat na akademickiej ławie, mieszkał w domu studenckim, pobierał stypendium, a po zdobyciu dyplomu na prelekcje do świata i Polski Ludowej, że mu się każe dzieci uczyć. On ma aspiracje, działał w organizacji młodzieżowej, uważa, że jest stworzony nie do takich przyziemnych spraw, jak uczenie dzieci. Zdarzało mi się wyrzucać za drzwi młodzieńców, domagających się interwencji w żywotnych dla nich sprawach — uniknięcia pracy w szkole, zwłaszcza w szkole na prowincji, gdzie, panie redaktorze, inteligent skapcanieje, przecież nie ma tam kawiarni itp. Wielu udaje się uniknąć tej pracy... Osobiście jestem zadowolony, że młodzieńcy i pannice, których tu bliżej charakteryzowałem nie będą, wykonują inny zawód niż nauczycielski. Gorzej, jeśli taki lub

taka idzie jednak do szkoły, odbębnią lekcje... Chyba o tych myślą nauczyciele z kilkuletnim stażem, gdy mówią, że młódź nauczycielska nie przejmuje się swoją rolą...

Przejdę do ogólniejszych konkluzji: czytałem w materiałach UNESCO, że we współczesnym świecie, w którym tak duże znaczenie przywiązuje się do upowszechnienia oświaty i nauki, zawód nauczycielski przestaje być atrakcyjny, nie imponuje już zdolnej i ambitnej młodzieży, mającej tyle innych szans do robienia życiowej kariery. Sprzeżność? A może prawidłowość? Wolę powstrzymać się od jednoznacznych ocen. Jedno jest pewne: rola nauczyciela jest teraz trudniejsza, może właśnie i dlatego, że społeczeństwa tak duże nadzieje pokładają w upowszechnieniu oświaty, reformując programy nauczania, każą włączać młodzieży coraz większy zasób wiedzy, traktując szkolnictwo jako bardzo istotny instrument przeobrażeń społecznych i gospodarczych. Właśnie dlatego przedstawiciele różnych dziedzin życia społecznego i gospodarczego tyle uwagi poświęcają szkolnictwu i pracy nauczyciela. To zainteresowanie uzewnętrznia się w różnych formach, i takich, których przykłady podałem na wstępie.

Wydaje mi się, że przecenianie praktycznych możliwości szkoły, kierowanie pod jej adresem tylu postulatów jest źródłem wielu nieporozumień, których dowodem są wspomniane przykłady: Nauczycielstwo, jak każdy inny zawód, ma swoją specyfikę; szkoła wyciska przemienne piętno na osobowości ludzi w niej pracujących. Lecz nauczycielstwo jest chyba jedynym zawodem, który otacza swoista atmosfera: uznania, szacunku, zawiedzionych nadziei, pretensji i krytyki, a to dlatego, że jego pracą zainteresowanych jest mnóstwo ludzi, praktycznie całe społeczeństwo. Słowem, imponderabilia otaczające zawód nauczycielski nie sprzyjają adekwatnemu poznaniu jego specyfiki, wewnętrznej struktury i przeobrażeń, jakim podlega.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Z rzeszowskiego Domu Sztuki

WYSTAWA MALARSTWA
FELIKSA WORSZTYNOWICZA

Krajobraz górski okolic Rzeszowa i Wąbrzycha to tematyka prac Feliksa Worsztynowicza, których wystawa czynna jest w kawiarni Rzeszowskiego Domu Sztuki.

Feliks Worsztynowicz, plastyk starszego pokolenia, w latach 1922—1926 studiował w Państwowej Szkole Sztuki Zasadniczej i Przemysłu Artystycznego w Poznaniu. Toteż pierwsze swoje prace poświęcił wielko polskiej biorąc udział w wystawach Grupy „Twór” w Salonie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. W 1934 r. w Instytucie Krzewienia Sztuki w Poznaniu otworzyła się jego pierwsza wystawa indywidualna poświęcona pejzażowi wielkopolskiemu.

W okresie międzywojennym artysta był autorem kilku tek graficznych oraz scenogramem Teatru Miejskiego w Grudziądzu i w Teatrze Nowym i Komedii Muzycznej w Poznaniu. W latach okupacji F. Worsztynowicz był więźniem politycznym obozów Pustków i Sachsenhausen. Po wyzwoleniu związał się z ziemią rzeszowską i już w 1944 roku w październiku bierze udział w pierwszej wy-

stawie Rzeszowskiego Związku Artystów Plastyków.

Na łamach „Rzeczypospolitej” Ignacy Wiltz w swej krytycznej recenzji pisał: „...malarstwo jest trudne i o tym wiedzieć powinien artysta, że tylko przez uporcezywa pracę nad materialem malarskim dochodzi się do jakichś takich rezultatów. Parę prac wyłamuje się jednak z całości... do nich należą „Polesie” Zbigniewa Krygowskiego, „Martwa natura” Tadeusza Jachiewicza, „Pejzaż Fryształ” Feliksa Worsztynowicza i „Portret Marty Augustynowicz...”.

W latach 1946—1959 artysta jest scenografem Teatru im. W. Siemaszkowej. bierze udział w wielu wystawach w Krakowie i Rzeszowie oraz czterech województwach. W 1945 roku został odznaczony Medalem Zwycięstwa i Wolności. W 1947 r. został laureatem nagrody Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki, otrzymał również wyróżnienie w konkursie na opracowanie wnętrza sklepu. Prace jego znajdują się w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie, Muzeum w Gorlicach i Sremie, w zbiorach przyszłej Galerii ziemi rzeszowskiej i u osób prywatnych.

(g.)



F. WORSZTYNOWICZ — „Pejzaż górski” — olej.

wali jej serce, kiedy słyszy owo „ty”, kiedy widzi tę beztroską głupiej, smarkatej twarzy. Tę łatwość, z jaką potrafił w bezmyślności ubliżyć, do bezradności ludzi inaczej wychowanych.

Dziwnie kojarzy mi się ten list starszej pani z własnymi przeżyciami. Czyż nie czuła kiedyś, że jesteś mgłą, że Cię nie ma, że nie istnieje dla drugiego człowieka? W bardzo nieważnym urzędzie niedawno coś załatwiałam i... zgubiłam na ów moment załatwienia własną osobowość. Panią nie do mnie mówiła — choć o mojej sprawie, nie na mnie patrzyła — choć nikogo wokół nie było. Sprawa zaczęła więc wyglądać abstrakcyjnie: nie dotyczyła nikogo. Właściwie pozytywnie ją załatwiłam, dostałam ten podpis czy pieczęć, wyszłam z idiotycznie brzmiącym „dziękuję”, na które jedyną odpowiedzią było milczenie, z jeszcze bardziej idiotycznym w tej sytuacji „do widzenia” i za drzwi mi dopiero, strząsając z siebie mgłę, wracałam do osobowości poprzez bardzo brzydkie wyrazy.

Za tydzień ta sama panią znalazła się w pewnym biurze, gdzie przypadkiem gaworzyłam z kierownikiem, dla którego natychmiast zaczęła być mgłą. Gdybyś widział, jak usiłowała strząsnąć z siebie tę mgłę, jak wdzięcznie gruchota swoje „bardzo proszę”, z jaką kulturą wyginała młody grzbiec w ukło-

nach, jakie lansady czyniła, piruety! A kiedy już sprawa zupełnie się wyabstrahowała z osobowości ludzkiej, stała się paragrafem, z desperacją krzyknęła w moją stronę: przecież my się znamy, pani u mnie tę pieczęć... Nie skończyła i wo mgłę się rozpłynęła. Z jakimś tam jeszcze „dziękuję” i „do widzenia”, a myśmy podjęli beztroskie gaworzenie, nareszcie wolni.

Drogi Mój, osądź jak chcesz, co Ci piszę — ale to jest lańcuch, zamknięty lańcuch, ukuty z silnego żelastwa chamskich nawyków i z desperacko stosowanej logiki typu „jak Kuba Bogu”. Pielęgnujemy w sobie dwie natury: tę wdzięcznie szczebiotliwą na użytek przyjaciół i szefów oraz tę grubokościstą, ordynarną, bezwzględną wobec słabych, nie nie znaczących w danej chwili. I zdaje nam się, że idąc pod rękę z tym schematem, urządzamy świat kulturalny, podczas gdy taki jest tylko kwintesencją prostactwa i sprytu.

Czasem ktoś tam zapłacze się we własne sidła i odpali bardzo ważnej osobie; mówi się wtedy: ale głupio się facet naraził! Może głupio, ale nie sądzisz, że taką konsekwencję, gdyby miał odrobinę rozumu, mógł był przewidzieć?

Urząd rzecz ludzka, lubi przebierać w ludziach. Sama znam paru speców od wytwa-

rzania petentów — mgieł. Dziś, gdy z urzędu odeszli, nieco wewnętrznie sflaczeli i zapewne wielu, robiąc rachunek sumienia, czuje, że ilość powiedzianego w życiu „dziękuję” wyrównają dopiero za następnych lat parę.

Nie chciałabym naturalnie, żebyś zobaczył to, co Ci piszę, jako protest przeciw nadużywaniu władzy, ponieważ ani mi w głowie tak starożytny temat. Ale żebyś wejrzał pod te opowiadania, które wszyscy znamy i zobaczył początek procesu chropawych obyczajów właśnie w tym anormalnym przekształceniu, że jeżeli coś mogę — to automatycznie opada ze mnie polór dobrego wychowania, to chamieję, kamienieję, zamieniam ludzi w mgłę. Zresztą jakaż to i władza na przykład panią za ladą — a spróbuj przejść się po sklepach: ile tam dumy, ile można nie pokazać towaru, ile pychy, że można zająć się raportem w miejsce klienta, ile radości siły w owym „nie ma!” Czujesz się, jak apostoł na pustyni ze swoim „dzień dobry”, kiedy widzisz dłubanie w nosie osoby pozdrawianej i w odpowiedzi słyszysz różne warianty tematu o kopaniu buraków. A w ogóle te tematy! Ich mnogość, ich jakość! Ta gra mimiki, gdy masz nieśczęście przerwać! Zdaże się człowiekowi, że usługa, za którą państwo płaci i która jest dla niego pomysłana — obraca się przeciw niemu.

Łańcuch się więc powiększa o najmniej spodziewane ognitwa. Nie sposób go rozzerwać, nie sposób się zeń wydostać, bo zamyka nasze codzienne sprawy i codzienne konieczności. A bierze się to zbiorowe uprawianie mgły zupełnie prosto z nadmierne rozbudowanych wyobrażeń o własnych możliwościach, z przesadnej teorii o ludziach niezastąpionych. Z chęci prostactkiego imponowania. Z braku szacunku dla tego, czego uczy dom i szkoła. Łańcuch się powiększa, bo jak już Ci pisałam — chamstwo zawsze ewokuje chamstwo. Bo nerwy odmauwiają nam posłuszeństwa. Bo słowo uprzejme nie nie znaczy, nie jest słuchane.

Myślę, że zgodzisz się ze mną, kiedy powiem, że zaczynamy tracić orientację i wyzywać się szlachetnych nawyków. Coraz częściej nawiedza mnie ponure przeświadczenie, że staropolskie „kobietę tylko kwiatem” dawno odłożyliśmy do lamusa i ironicznie uśmiechem kwitować zaczynamy domaganie się pierwszeństwa w przejściu, uprzejmości w słowie; nie mówiąc już o jakiejś prehistorycznej galanterii, dżentelmeństwie. Zaczyna mnie nawiedzać ponure przeświadczenie, że jak tak dalej pójdzie, nasze córki nie dowiedzą się w ogóle, że kiedyś istniały takie pojęcia i zaczęły ćwiczyć dżudo, uprawiać kulturystkę, by zapewnić sobie jakiś taki spokój na ulicy.

Nie muszę Ci chyba wyjaśniać, dlaczego położyłam zupełnie świadomie obok siebie dwie sprawy: owego traktowania człowieka w miejscach publicznych jak intruza i owego braku zasad elementarnej grzeczności wśród młodych rozumem, a silnych pięścią? Po cóż ów kolega, który tak nagle wypił z moją Czytelniczką bruder-szafft ma strzepić język owym „przepraszam”, kiedy tak niewielu zareaguje, usłyszysz? Kiedy go nauczone właśnie w publicznych miejscach niecierpliwego odszczekiwania zamiast kulturalnej odpowiedzi? Kiedy „posunął się szczeniaku”, „nie rozwalaj się szczeniaku” słyszy w autobusie, pociągu, tramwaju? Kiedy nasze reakcje są albo obrażonym milczeniem, albo gdy ilościowo przeważamy, stają się od razu kazaniem o zepsutej moralności młodego pokolenia? Nie umiem wyrwać zdarzeń z ogólnego kontekstu obyczajów. Dlatego list Czytelniczki widzę jako dopelnienie tego, co sama spostrzegam, tego, na co i Ty możesz być narażony dziś, jutro, za rok. Ze ani Tobie, ani sobie tego nie życzę, że eksplodują we mnie ciężkie protesty przeciw walce o miejsce w autobusie, o pierwszeństwo przejścia — przeto wybacz ów ton niepodobny i przyjmij moje „do widzenia” jako jedno z najprzyjaźniej brzmiących słów w słowniku ludzkim.

KRYSTYNA

W 120 rocznicę śmierci ŚLADAMI CHOPINA



Chopinowi poświęcono do tej pory dziesiątki artykułów, napisano o nim szereg prac monograficznych, toteż moją publikacją chciałbym tylko w 120 rocznicę śmierci Chopina (zm. 17 X 1849) przypomnieć pewne fakty z jego pobytu we Francji i w Paryżu, na które natknąłem się podczas poszukiwania materiałów do dysertacji doktorskiej o polskiej prozie emigracyjnej.

CHOPIN W PARYŻU

Chopin wprowadził formalnie do emigracji nie należał, gdyż wyjechał z Polski w listopadzie 1829 r., a więc w rok przed wybuchem powstania listopadowego. Sam jednak moralnie i duchowo poczuwał się do wspólnoty z emigrantami i chętnie służył im nie tylko gościnnością, ale również pomocą materialną, o czym świadczą zachowane do tej pory zapisy źródłowe. Spotkamy nazwisko Chopina wśród ofiarodawców na polską szkołę założoną w Paryżu w 1841 r. Dzisiaj w dawnym polskim liceum na rue Lamande, mieści się hotel-bursa dla polskich stypendystów, mieszkałem tu przez okres 2 miesięcy w 1960 roku. Dużo więcej pamiętek po Chopinie, szczególnie rękopisów i listów, znajdziemy w Bibliotece Polskiej założonej jeszcze w 1838 roku na Wybrzeżu Orleańskim, St. Louis — Wyspy Świętego Ludwika, nie mówiąc już o materiałach archiwalnych Nationale Biblioteque. Nietrudno mi było odnaleźć mieszkania, w których mieszkał Chopin podczas 18-letniego pobytu w Paryżu. Pamiętkowe tablice na mieszkaniach: przy bulwarze Poissoniere 27, gdzie wprowadził się w listopadzie 1831 r., oraz przy placu Vendome 12, gdzie zmarł 17 X 1849 r. przypominające wszystkim przechodniom, że mieszkał tu i tworzył wielki Polak — Fryderyk Chopin, którego muzyka przetrwała aż do dzisiaj świeża i piękna jak dawniej. Warto jeszcze wspomnieć o mieszkaniach Chopina przy rue Chausse d'Antin, przy Square d'Orleans i przy rue Tronchet. Każde z nich to inny rozdział w życiu i twórczości wielkiego kompozytora. O popularności, jaką sobie zdobył Chopin we Francji świadczy fakt, że dla uczczenia jego pamięci wzniesiono Chopinowi pomnik w parku Monceau, a jeden z paryskich placów nazwano — place Chopin.

MUZEU GEORGE SAND

Nohant to mała malownicza wieś francuska, położona 300 km. na południe od Paryża nie-

daleko miasteczka La Chatre (8 km) i Chateauroux. Miała tu swój dziedziczny majątek bliska przyjaciółka Chopina, znakomita powieściopisarka francuska w XIX wieku Aurora Dudevant, używająca w literaturze pseudonimu George Sand. Z nią to i z jej dziećmi spędził Chopin w Nohant dla poratowania zdrowia wszystkie miesiące letnie po powrocie z Majorji aż do 1847 r., tj. do momentu zerwania przyjaźni z panią Sand. Nohant, które przypominało prawdopodobnie Chopinowi rodzinne Mazowsze i Żelazową Wołę, wpłynęło kojąco na jego chory organizm. Tu też powstała znaczna część jego znakomitych utworów. Dzisiaj w jednopiętrowym pałacyku pani Sand mieści się muzeum, w którym oczywiście nie brak i pamiątek po Chopinie. Nohant upamiętnione na zawsze w sztuce Jarosława Iwaszkiewicza jest dumą jego mieszkańców, oraz sąsiednich miasteczek La Chatre i Chateauroux. Potrafia oni godzinami przy szklance wina opowiadać mniej lub bardziej prawdziwe historie o swojej George Sand, oczywiście wiedzą również kto to był Chopin. Właściciel miejscowej restauracji i zarazem hoteliku „de la Fadette — Czardziejka”, u którego zatrzymałem się na noc mówił mi, że oni, mieszkańcy Nohant, są dumni z dwu rzeczy, a to z muzeum George Sand i z tego, że uważani są za bohaterów wojny francusko-niemieckiej w 1940 r. Na Nohant la Chatre i okoliczne miejscowości spadły pierwsze łomby niemieckie, a nie na Paryż czy też linie Maginota (w okolicach La Chatre były przed 1940 r. okiem wojskowe lotniska francuskie).

Dwudniowy pobyt w Nohant pozwolił mi zwiedzić muzeum i poznać wszystkie pamiątki po Chopinie. Do dzisiaj w bardzo dobrym stanie zachował się powóz Chopina. Przewodnik twierdzi, że jest to powóz George Sand, wydaje mi się, że jest to jednak powóz Chopina, gdyż w okresie swojej świetnej pozycji materialnej kupił sobie Chopin swój własny powóz, z którego korzystała również George Sand. W dość dobrym stanie zachowały się wraz z umeblowaniem pokoje, w których mieszkał, tworzył i grał Fryderyk Chopin. Wśród innych pamiątek po wielkim kompozytorze na uwagę zasługują jeszcze rękopisy nut i pukiel włosów Chopina. Opuszczając Nohant ożyły w mojej wyobraźni na nowo wskrzeszone przez Jarosława Iwaszkiewicza postaci współmieszkańców Chopina i przyjezdnych

gości w znakomitym dramacie „Lato w Nohant”.

NA CMENTARZU PERE-LACHAISE

Cmentarz Pere-Lachaise jeden z najstarszych i najokazalszych cmentarzy Paryża założony w 1804 r. z polecenia Napoleona przez prefekta Frochot nazywany jest przez paryżan „Zieloną wyspą umarłych”. Tutaj w 1849 roku w zielonym, cienistym ustroniu spoczęły zwłoki Fryderyka Chopina. Wśród wielu polskich grobów, jeden z nielicznych, o którym pamiętają również i Francuzi. Można więc spotkać prawie codziennie na grobie Chopina białoczerwone kwiaty. Sam grób kompozytora wydawał mi się dziwnie smutny. Być może, stwarza takie wrażenie kamienny posąg smutnej kobiety dłuta zięcia George Sand — Clesingera, siedzącej i pochylonej nad marmurowym medalionem Chopina, wmurowanym w kamienny postument. Na grobie umieszczony jest napis po francusku — „Fryderyk Chopin, urodzony w Polsce, w Żelazowej Woli pod Warszawą, syn francuskiego emigranta, ożenionego z Krzyżanowską, córką szlachcica polskiego”. Lubił tu często przychodzić drugi obok Jarosława Iwaszkiewicza znakomity naukowiec i miłośnik muzyki Chopina Francuz — prof. Edward Ganche, autor wielu monografii i studiów o Chopinie, a wśród nich „Voyages avec Frederie Chopin” — „Podróż z Fryderykiem Chopinem” wydana w Paryżu w 1934 r. To właśnie nad grobem Chopina znalazła się u prof. Ganche myśl sprowadzenia prochów Chopina na Wawel. Projekt, który gorąco propagował od 1922 r. tak na łamach prasy francuskiej, jak i polskiej. Na uwagę zasługuje apel prof. Ganche'a zamieszczony w „Muzyce” w 1928 r. do opinii polskiej i zagranicznej motywując pragnienie sprowadzenia prochów Chopina na Wawel tym, że „Ten znakomity artysta należy do Polski i to na zawsze”. Do Polski przywiezione zostało tylko serce Chopina przez siostrę artysty — Ludwikę, które umieszczono w Kościele Św. Krzyża w Warszawie. Na płycie kamiennej przykrywającej serce umieszczono napis w języku łacińskim: „Ibi cor meum, ubi Patria mea” — Tam jest serce moje, gdzie Ojczyzna moja” słowa, które wypowiedział Chopin w chwili swojej śmierci do grona otaczających go przyjaciół.

EMILIAN BLIZNIAK

Edward Wisz

Świadkowie historii

Ile lat miał ów żołnierz, którego prochy spoczywają w tej otłogiej mogile na cmentarzu w Birczy, wśród schyłkowych wysokich traw? Dużo tu takich mogił. Spomiędzy gąszczy szerniałych ziół, zwiedzących polnych rumianków wychylają się kamienne tablice z charakterystycznym już nieco zatartym napisem „NN” — czyli nieznany.

Nieco dalej groby poległych milicjantów, ormowców, członków oddziałów samoobrony.

Stoimy wśród tych mogił, przywołując w pamięci obraz tamtych koszmarnej nocy, które do dziś dla wielu mieszkańców gromady pozostały niezatarte. Obok słuchają opowieści nauceknych świadków, bezpośrednich uczestników walk, kilkunastoletni chłopcy z tarczami szkolnymi na rękawach. Przyszli tu, nie zwolnieni przez nikogo. Dla nich, dojeżdżających codziennie do szkół w Przemysłu, lub pobierających edukację na miejscu, urodzonych w kilka lat po tamtych dramatycznych wydarzeniach, wszystko to, co rozegrało się we wsi dosłownie niezajętej wojnie, jest już odległą historią. Mimo to, kiedy mają okazję posłuchać wspomnień chętnie z nich korzystają. Często sami podpowiadają, uzupełniają. „A zapomniał pan jeszcze opowiedzieć o tym makabrycznym odkryciu w rejonie „Mordowni”... Albo: „Wtedy część żołnierzy maszerowała w kierunku Brzeżawy i stąd też bandedowcy zdecydowali się na ten atak, który o mało nie zakończył się zdobyciem Birczy...”

Potem idziemy jeszcze na Rynek, gdzie w samym jego centrum, naprzeciw nowych bloków, mieszczących na parterze przystolną kawiarenkę i restaurację, stoi pomnik. Na cokole orzeł z rozpostartymi skrzydłami. Niżej tablica: „Żywi to pamiętają. Żywi dziś czuwają. Poległym za wolność z faszystowskimi bandami UPA w latach 1944—1947, żołnierzom WP, WOP, KBW, funkcjonariuszom MO, UB, ORMO — społeczeństwo Birczy”.

Poległo ich dużo. Rejestr nazwisk do dziś nie jest pełny. Nie wiadomo często skąd przybyli, jak się nazywali, ile mieli lat... Bezimiennie mogiły żołnierzy kryją prochy bohaterów, którzy niekiedy dołączyli do oddziału gdzieś na trasie. Nie pytano wówczas o nazwiska. Nie było czasu. Oddziały, plutony operacyjne, przetrucano ze wsi do wsi. Koledzy

znali ich imiona. Ponieważ się jednak powtarzały, więc dla odróżnienia swoich współtowarzyszy walki, dodawali im przezwiska. Był więc w oddziale Kuba — „Grajek”, który ładnie umiał grać na harmonii, Staszek — „Plewa” z płową czupryną, Edek — „Furman”, co przed wojną służył we dworze jako fernal, Michał — „Rzepa”, Kazek — „Saper”, „Jontek”, „Sitacz” i wielu innych.

Towarzysz Józef Winiarski, dziś przewodniczący GRN, był wówczas w Birczy komendantem posterunku. Włodzimierz Komonicki, obecnie księgowy POM, w tamtych latach jako sekretarz nowo powstałej Gminnej Rady Narodowej był m. in. odpowiedzialny za nawiązywanie łączności z władzami powiatowymi w Przemysłu i przesyłanie meldunków o sytuacji panującej w terenie. Słuchał więc przy polowej radiostacji, stojącej na krześle w pobliżu na wpół rozwalonego pieca i beznamytnym głosem wywoływał przemyskiego odbiorcę: Tu Jawor. Tu Jawor. Jak mnie słyszysz? Odbiór”. Potem w telegraficznym skrócie przekazywał treść meldunku: „Nastroje wśród społeczeństwa — dobre. Ludzie przystępują do odbudowy zniszczonych wojną zagrod. Rozpoczęto siewy poplonów. Odstawiamy pierwsze w wolnej Polsce ziarno dla przemyskich robotników”. Z Przemysłu płynęły natomiast na falach eteru instrukcje, zarządzenia, rady...

Spokój, twórcza praca, entuzjazm, jaki charakteryzował w pierwszych dniach mieszkańców ówczesnej gminy, został w kilka tygodni później brutalnie przerwany. Nad Birczą poczęły się gromadzić ciemne chmury. Także treść meldunków zawierała już same dramaty i wołania o pomoc.

Ludzie coraz częściej informowali miejscowe władze o podejrzanych ruchach uzbrojonych grup. W nocy z masywów leśnych, okalających Birczę dochodziły suche trzaski broni automatycznej. Były pierwsze ofiary. We wsi Sufczyzna zamordowano Józefa Dorociaka i jego dwóch synów. Jeden miał 7 lat, drugi 10. Bandytci pozostawili kartkę, w której przestrzegali, że każdego, kto będzie popierał władzę ludo-

II Ogólnopolska Wystawa Malarstwa Młodych

Staraniem Zarz. Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków — Sekcji Malarstwa, Zarządu Okręgu ZPAP w Rzeszowie i Biura Wystaw Artystycznych zorganizowana została w naszym mieście II Ogólnopolska Wystawa Młodego Malarstwa. Celem jej jest stworzenie młodym artystom możliwości konfrontacji osiągnięć twórczych, a wyróżniającym się udzielenie pomocy organizacyjnej i materialnej w formie twórczych stypendiów.

Na komisarzy wystawy został powołany art. plastyk Jerzy Majewski.

7 października br. jury pod przewodnictwem Jacka Semplińskiego z Warszawy w następującym składzie: Barbara Jonscher (Warszawa), Jan Berdyszak (Poznań), Maciej Bieniasz (Kraków), Edward Kieferling (Rzeszów), Andrzej Możejko (Warszawa), Jerzy Majewski (Rzeszów) — rozpoczęło klasyfikację prac.

Ogółem nadesłano z 15 okręgów ZPAP rekordową ilość 441 obrazów 180 autorów, z czego w pierwszym dniu posiedzenia przy pierwszej e-

liminacji przyjęto 114 prac 73 autorów.

W drugiej eliminacji wartościując jeszcze raz bogaty materiał przyjęto dodatkowo spośród odrzuconych prac dalszych 6, odrzucając 3. W eliminacji trzeciej wytypowano 13 autorów do stypendiów, ufundowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i ewentualnych nagród lub wyróżnień. W gronie tym, o czym miło wspomnieć, znalazła się młoda rzeszowska malarzka Jolanta Jakima-Zerek.

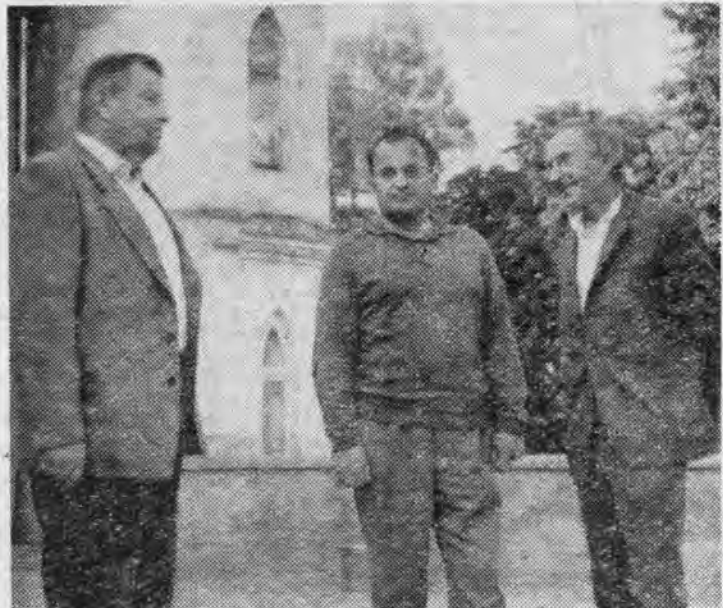
Z rzeszowskiego Okręgu ZPAP 6 autorów nadesłało 12 obrazów, z czego połowę zostało zakwalifikowanych w pierwszej eliminacji. Przyjęto do ekspozycji prace: Jolanty Jakimy-Zerek (dwie), Krzysztof Lacharty (dwie), Zygmunt Czyża (jedną) i Emila Polita (jedną).

W wyniku 2-dniowych obrad jury przyjęto w rezultacie na wystawę 117 prac 75 autorów, odrzucając 324.

Ekspozycja wszystkich zakwalifikowanych obrazów zostanie otwarta w dniu dzisiejszym w salach wystawowych BWA, w Domu Sztuki o godz. 17. (am)

wą, czeka ten sam los. Dzień wcześniej Józef Dorociak w pro- tych, ale pełnych żaru i pasji słowach, na zebraniu wiejskim, apelował do mieszkańców, by mimo ogromnego zniszczenia, pozosta- wionego przez okupanta i rozlicznych trudności, jakie prze- żywały gospodarstwa chłopskie, zwiększyli pomoc żywnościową dla walczących wojsk i ludności miejskiej.

Tymczasem wysłane patrole MO powróciły z wiadomościami, które nie wróżyły niczego dobro- go: wokół, w lasach, włóczy się silne liczebnie i doskonale uzbrojone bandy UPA Burłaka, Żeleźniaka i innych pomniejszych przywódców sotni, w których szeregach znajdowało się sporo b. esesmanów, gestapowców i żołdaków znanej z okrucieństwa tzw. policji ukraińskiej.



Na zdjęciu od lewej: b. komendant posterunku MO w Birczy Józef Winiarski, kierownik szkolnego internatu oraz Włodzimierz Komonicki. Ten, który w 1946 roku leciał „kukuruznikiem” z oblężonej Birczy do Przemyśla, wioząc kartki z Referendum. Fot. M. KOPEĆ

Pod koniec 1944 roku łączność telefoniczna z Przemyślem prakty- cznie już nie istnieje. Banderowcy w kilku miejscach zerwali prze- wody. Pozostała krótkofalówka, która z uwagi na niedostatek ba- terii, uruchamiała się tylko dwa ra- zy dziennie. Wszystkie dojazdy są kontrolowane przez bandytów. Wieść jest okrażona. Ważniejsze meldunki i informacje, zaszyfrowane, przesyła się do Przemyśla, najczęściej w nocy, przez specja- lnych kurierów. Wiele z nich z tej niebezpiecznej wyprawy nie po- wraca. Zmasakrowane ciała świadczą o ohydnych torturach i mę- czeńskiej śmierci, jaką z rąk ban- dytów ponieśli. Ale już nazajutrz w tę ryzykowną podróż udają się inni.

W nocy na horyzoncie widać łuny pożarów. To palą się zabu- dowania sąsiednich wsi: Rudawki, Woli Korzenińskiej, Lomny. Do Birczy ściągają uciekinierzy z całym dobytkiem. Młoda rada, po- sterunek, mają pełne ręce roboty. Trzeba tych ludzi gdzieś ukolo- wać, otoczyć opieką, szczególnie dzieci, zabezpieczyć paszę dla bydła.

W tych niezwykle trudnych dniach rośnie łancuch ludzi do- brej woli, zaczęli się wieny so- lidarności. Ludzie darują sobie dawne urazy i dzielą się wołnym kątem, kawałkiem chleba. Część załamuje się i wyjeżdża do Prze- myśla. Ale tylko część. Większość choć niepewna jutra, decyduje się pozostać.

Uciekinierzy opowiadają o po- twornych mordach. W Łodzinie zasztyletowano Jana Buczkow- skiego, jednego z organizatorów komitetu reformy rolnej. Mimo kilkakrotnych ostrzeżeń przesy- łanych mu przez bandytów, nie zaprzestał dzielić ziemi obszarni- czej.

W Piątkowej rozbito posteru- nek MO. Zginęło 6 milicjantów, 6 natomiast wprowadzono i roz- strzelano.

Do szkoły podstawowej w Suf- czynie wdarała się w nocy grupa uzbrojonych banderowców, któ- rzy mordują rodzinę Sugerów: kierownika szkoły wraz z żoną i dwójkiem nieletnich dzieci. Kie- rownikowi na oczach żony i dzie- ci poderżnięto gardło. Skonał w straszliwych męczarniach. Ucz- niowie tej szkoły, to dzieci rod- zin ukraińskich. Suger uczył te- go języka. Ale faszystom spod

znaku tryzuba nie podobało się, że wpajał w wychowanków idee sprawiedliwości, jaką niósł z so- bą nowy ustrój, nawoływał do zaprzestania rozlewu krwi.

Upowcy stosowali terror także wobec swoich ziomków, odma- wiający współpracy. Z ich rąk zginął młodziutki Jarosław Ilnic- ki, syn profesora gimnazjum. Rozstrzelano go, ponieważ zwró- cił bandytom uwagę, że ich me- tody niczym się nie różnią od metod stosowanych przez hitle- rowców. W Brzeżanie natomiast powieszono całą rodzinę Duch- niaków za lojalność wobec mło- dej władzy i pomoc ludności pol- skiej.

Winiarski, świadek wielu tra- gicznych wydarzeń, opowiada o dalszych ofiarach deprymująco wpływających na tych, którzy pozostali.

wręcz, upowcy unosząc zabitych wycofali się do okolicznych la- sów.

Ale i straty obrońców były bardzo duże. Mało tego. We wsi wystąpiły objawy paniki. Mówi o tym zachowany do dziś meldu- nek przesłany drogą radiową przez Winiarskiego: „...Bande- rowcy spalili 11 domów miesz- kalnych wraz z zabudowaniami gospodarskimi, dom ludowy, ko- szary wojskowe, tartak. W pło- mieniach poniosły śmierć 3 oso- by. Z ludności cywilnej zabito 3 kobiety, 4 mężczyzn, dziecko. Za- bitych jest też 17 żołnierzy, w tym kapitan WP. Ponadto bandy- ci obrabowali kilkanaście rodzin. W okolicy panuje ogromna pa- nika. Ludność zwraca się z pro- bą do władz o udostępnienie środków transportowych w celu ewakuacji ludności cywilnej”. Pytam dziś Winiarskiego, jak to się jednak stało, że do ewakuacji nie doszło. Po prostu jeszcze raz wszystko przemyśleli. Zorganizowano na prędce zebranie. Zdania były podzielone. Zdecydowana większość była przeciwna ewa- kuacji. Przecież w ten sposób wydano by Birczę na łup bandy- tów...

W 1946 r. odbyło się Referen- dum. Liczba głosujących była bardzo wysoka, przekroczyła 90 procent. To jeszcze bardziej ut- wierdziło w przekonaniu, że trzeba walczyć. Ponieważ drogi były obstawione przez watahy UPA, z Przemyśla do przewozu kartek przystano samolot, popu- larnego „kukuruznika”. Z kart- kami poleciał Włodzimierz Komonicki. Powrócił nazajutrz z oddziałem wojska.

Drugiego ataku dokonują ban- dytów w nocy z 27 na 28 listopa- da 1946 r. i ten atak został od- party.

Ostatni, trzeci napad, o ma- ło nie skończył się tragicznie. Oddział wojskowy w liczbę ponad 200 żołnierzy oraz milicjan- ci wyruszyli w tym dniu z Bir- czy na akcję w kierunku Mala- wy i Lipy. Upowcy tylko na to czekali. We wsi pozostało około 20 żołnierzy i kilku funkcyjni- sariuszy MO. Sotnie banderowców ze wszystkich stron rozpoczęli natarcie. Garska obrońców mę- nie stawiała im czoła. Walka była zażarta. Bandyci do tego stopnia byli pewni zwycięstwa, że w sąsiedniej wsi, Wojtkowej, przy- gotowali już bankiet dla uczczenia zdobycia wsi. Napastników powitał huraganowy ogień. Cóż z tego. Było ich jednak więcej. Już zaczęli się wdzierać na ry- nek... W tym momencie, gdzieś z tyłu, głośnie hurra i serie automa- tów przerywały głąb upowców do ziemi. To oddział wojskowy, zdą- żający do Brzezawy na odgłos strzałów zawrócił w kierunku wsi i z całym impetem natarł na napastników.

Po tej walce, w której zginę- ło kilkuset banderowców, nie u- dało się już przywódcem UPA zorganizować silniejszego od- działu. Część wyłapano, reszcie udało się przez Czechosłowację przedrzeć do NRF, gdzie znaleźli opiekę swych protektorów.

Bircza całkowicie dźwignęła się z ruin. Nawet wypiekiała. Nowe bloki, placówki socjalne, kultural- ne dodają jej uroku. Gromada wy- różnia się wśród wielu wsi aktywnością społeczną, pomysłowością w podejmowaniu inicjatyw gospodar- czych, kulturalnych. Dawni obroń- cy Birczy zamienili karabin na plug, pióro, codziennie rano spie- są do miejscowych zakładów pra- cy lub wsiadają w autobus zdą- żający do Przemyśla, gdzie zni- kała za bramami fabryk.

Ale pamięć we wsi o tamtych dniach pozostała. Są jeszcze wido- czne tu i ówdzie rany. Po niektó- rym wioskach pozostały tylko nazwy.

Józef Winiarski, przewodniczący GRN i aktywista partyny, jest chodzącą encyklopedią tutejszych okolicznych wiosek. Zna na pa- mięć wszystko, co dokonało się tu po wojnie. Z dumą opowiada o rozwoju szkolnictwa, elektryfika- cji, której zupełnie nie było, o klubie-kawiarni, ośrodku zdrowia, punkcie nowoczesna gospodyni, prowadzonym przez KGW i pers- pекtywach rozwoju turystyki w tym przeuroczym zakątku powia- tu. Potem jeszcze raz prowadzi mnie na cmentarz, później na ry- nek, pokazuje mogiły, pomnik, przypomina nazwiska poległych i mówi: „To także ich zastęga...”

EDWARD WISZ

Przez sto lat księżyc odmieniał się złoty...

(Ciąg dalszy ze str. 3)

dialog, jakim słyszała w życiu. Opaliński narzucił szybkość, Rotmistrz podjął rękawicę, roz- grzał się, stawał się szybszy. Kiedy doszedł do owego blu- zniarstwa komicznego:

— Sam się żenić nie możesz, to chcesz, aby nigdy małżeństwa nie było.

Kapelan Opaliński krzyknął: — Broń boże! — tu się prze- żegnał przed rotmistrzowym

A pan Antoni Sander słysząc o śpiewie, włącza swój bas i szybko oblicza, że to ćwierć- wiecze akurat mija, kiedy on, dziś kierownik Zasadniczej Szko- лы Zawodowej w Przemyślu de- biutował w „Zamku na Czor- szynie” tą samą rolą Dobrosła- wa, którą i dziś objął w śpiewo- grze Kurpińskiego — czyli dru- giej premierze przygotowywanej z myślą o 100-leciu i potrzeby prezentacji kilku świetnie usta- wionych głosów fiedrowców.



Scena z „Zemsty” Fredry w reżyserii Mariana Stupieńskie- go. Na zdjęciu: Cześnik — Antoni Sander, Rejen — Marian Stprnicki oraz Papkin — Stefan Zóltowski. W dniu dzisiej- szym rolę Rejenta gra — Kazimierz Opaliński, a Papkina — Józef Kondrat.

posadzeniem, jak przed złym Prezd 25-laty w miejscowej duchem, a ja, jedyny widz, swój śmiech serdeczny powoli tłu- miąc, przyjąłem tę grę — próbę, jako cenny upominek na za- kończenie rozmowy.

Potem scena się powtórzyła już na scenie i 22 lata nie pró- bowanej, zawiłej przez rozliczne warianty paru zaledwie o- krzyków roli, pomyliły te o- krzyki. Cóż robi Opaliński? — nie wychodząc z gestu, kroku, intonacji, rzuca w widownię proste pytanie — co ja mówię? Suflerka wie — za chwilę i mistrz wie; zabawy nie przer- wał.

Próba jednej z czterech pre- mier przygotowywanych na ju- bileusz dobiera końca.

W garderobach dyskusje, zwierzenia. Ktoś tam dorzuca ogromniastą bryłę węgla do że- laznej piecyka i robi się w tym kącie nie do wytrzymania po lodowatej scenie. Nie czuj- ją jednak zimna dzisiaj, nie utyskują na zaplecze z nazwy tylko garderobom odpowiadają- ce, nie reagują na tłok w wą- skim przejściu poza sceną. Dla nich liczy się teatr — efekt; jak tam bywa na tym zaple- czu, tego do wiadomości wi- dza nie podają.

Zresztą i tak są bogatsi niż byli; może to dzięki swojemu 15 prezesowi — adwokatowi Mieczysławowi Malcowi, o któ- rym krąży powiedzenie, że pre- zesów to już Towarzystwo im. Aleksandra Fredry wielu mia- ło, ale takiego kupca ma po raz pierwszy. A coż prezes na to? Podaje dwie daty i dwie su- my: stan kasy w 1964, kiedy prezesurę obejmował — około tysiąca złotych oraz stan ka- sy w roku 1967 — ponad sto tysięcy złotych! Po tych danych cyfrowych resztę poważnej roz- mowy odkładamy na czas pu- jubileuszowy, bo prezes Malec koniecznie chce opowiedzieć, jak to Baśkę Kostrzewską (ta! na- turalnie, że ta Kostrzewska!) po poświętej „Nitouche” por- wano z „Fredreum” do stolicy, ale przedtem Baśka postawiła żądanie, że partnerem w „Nitou- che” będzie albo młody, albo stary Malec — inaczej nie za- śpiewa. I wyciągano z dan- cingu pana Mieczysława w środku nocy, bo za dwa dni premiera...

miejscowy krytyk napi- sał, że „bas Sandera brzmiał nieco za świeżo, jak na znęka- nego życiem starca”; dziś pan Sander przestał się obawiać po- dobego zarzutu, ale ja, gdy przypomnę sobie z łanuckiego przeglądu teatrów amatorskich siłę i preżność tego głosu, ani rusz w nim starca dopatrzeć się nie mogę. Czegóż to jednak nie chcą krytycy od aktora — często i tego, co zupełnie zda się być niepotrzebne...

Tak i rzuciwszy kamyk do swego ogródka, czuje, że czas zostawić rodzinę samą. Popod- glądawszy na żywo, od kulis i garderób gromadę zapaleńców, ludzi teatrem zarażonych, przy- pomnę jeszcze, co Siemaskowa powiedziała o nich:

„...to nie jest ważne, że gra- cie tak pięknie, jak na „Fred- reum” przystało, ale że gracie, choć grać nie musicie!”.

Grac jednak muszą, bo prze- trwały w tym teatrze o wybit- nie aktorskim profilu tradycje teatru spełniającego rolę naro- dowej edukacji. Wtedy, na sty- ku dwóch wieków, gdy zawo- dowców nie stało. Dziś gra jest i dla nich zawodem — nic to, że drugim, pierwszym bowiem z umiłowania. Zresztą tytuł „stałego niezawodowego teatru”, oficjalnie nadany „Fredreum” przez Ministerstwo Kultury i Sztuki — ustawiła go pośrodku ruchu teatralnego w Polsce: gdzieś na granicy amatorstwa i zawodostwa, z której znacznie bliżej stopę postawić w ten drugi obszar. I nie sądzę, by trzeba było czekać następnym stu lat, których z całego serca dziś na tym miejscu życzymy fiedrowcom, na sprawdzenie tej granicy, o której Kazimierz O- paliński powiedział, że już „nik- neła, zatariła się dobrym aktor- stwie i dojrzałych insceniza- cjach”.

Myślę, że po jubileuszu, któ- ry jest tylko chwilą w dziejach „Fredreum” warto będzie wró- cić do tego niezwykłego teatru, działającego w niezwykłej sce- nerii. Trawestując bowiem poe- tę: „Przez sto lat księżyc od- mienił się złoty, gdy na tym wzgórzu rozbili namioty”.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Konkurs — Konkurs — Konkurs

Jak corocznie tak i w tym roku odbywa się tradycyjny Przegląd Filmów Radzieckich, na który składają się: Festiwal Filmów Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Radzieckiej od 21 do 30 października 1969 r i Filmów Radzieckich — listopad 1969. Festiwal i Przegląd Filmów Radzieckich prezentują nam wiele ciekawych nowych najcenniejszych pozycji kinematografii radzieckiej.

Centrala Wynajmu Filmów, Wojewódzki Zarząd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Wydział Kultury, Wojewódzki Zarząd Kin, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych i „Widnokrąg” ogłaszają konkurs pt.:

„CZY ZNASZ NAJNOWSZE POZYCJE KINEMATOGRAFII RADZIECKIEJ ROKU 1969?”

PYTANIA KONKURSOWE

1. Na ekrany kin wchodzi IV część „Wojny i pokoju” w reżyserii Siergieja Bondarczuka. Podaj, jakie sceny ukazuje IV część tego filmu?
2. Jak się nazywa reżyser filmu pt. „Złote ciele”, scenariusz został opracowany wg powieści Ilfa i Pietrowa.
3. Jest to komedia sensacyjna w reżyserii Leonida Gajdaja ukazująca perypetie urzędnika — posiadacza skarbu. Podaj tytuł filmu?
4. Bracia Karamazon to dramat psychologiczny w reżyserii Iwana Pyriewa. Kto jest autorem powieści, na podstawie której opracowano ten film?
5. Z jakiej okazji został wyprodukowany film pt. „Październik” w reżyserii Siergieja Eisensteina?
6. Podaj imię i nazwisko aktorki odtwarzającej główną rolę w filmie „Wirryneja”.
7. Kontrwywiad radziecki otrzymuje wiadomość o planie przerzucenia przez granice państwa szpiega o pseudonimie „Nadzieja”. Reżyserem filmu jest Wieniamin Dorman. Jaki to tytuł filmu?
8. „Trzy dni Wiktora Czernyszowa” to studium obyczajowo-psychologiczne. W roli tytułowej wystąpił Giennadij Karolkow. Jaką odtwarza rolę?
9. Akcja filmu toczy się w 1920 roku na Powołżu ukazująca wędrowki 12-letniego chłopca wg powieści Aleksandra Niewierowa. Jaki to tytuł filmu?
10. „Zywy trup” jest filmem szerokoekranowym ukazującym dzieje pewnego arystokraty. Jak się nazywa autor dramatu, na podstawie którego powstał ten film?

WARUNKI KONKURSU

Uczestnicy konkursu do dnia 10 grudnia br. powinni nadesłać odpowiedzi na adres: Centrala Wynajmu Filmów, Ekspozycja w Rzeszowie, ul. Rejtana 2. Odpowiedzi należy wysłać na kartce pocztowej z napisem: Konkurs filmowy pt. „Czy znasz najnowsze pozycje kinematografii radzieckiej roku 1969?”. Wśród uczestników, którzy poprawnie odpowiedzą na wszystkie pytania rozlosowane zostaną nagrody:

zegarek na rękę, aparat fotograficzny, żelazko, teczka, komplet do pisania, 6 kompletów szklanek oraz 10 nagród książkowych.

O DKF dyskusyjnie

W naszym województwie istnieje 7 Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Niektóre z nich zaliczyć można do weteranów. Pracują po 10 lat i więcej. Mają bezsprzeczne osiągnięcia w krzewieniu kultury filmowej, jednak większość z nich ze swego sztytu firmowego słowo dyskusyjny — powinna skreślić. Nasze DKF-y w zasadzie nadal ograniczają się do kontemplowania filmów w idealnej ciszy i oszczędności słowa przed seansem i po filmie. Klubowicze tak ukochali spokój i szanują ciszę, iż nawet z rzadka wygłaszające prelekcje wprowadzające do filmu nagradzają oklaskami. Być może, iż wybuchają dysputy, ale jeżeli już to tylko w kameralnym kręgu najbliższych przyjaciół w domu lub w kawiarni, w klubie natomiast...

Ostatnio odbyło się w Wojewódzkim Domu Kultury spotkanie przedstawicieli klubów filmowych Rzeszowszczyzny z sekretarzem Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych Henrykiem Zielińskim, w którym brał również udział opiekun naszych DKF-ów z ramienia Federacji inż. Jan Pamała. Celem spotkania było przedyskutowanie dalszych form pracy klubów filmowych, pomoc dla nowo tworzących się placówek. Przewodzącym klubem w naszym województwie jest DKF Zakładowego Domu Kultury w Mielcu, przodującym nie tyle dlatego, że ma bogatego patro-

na, lecz dlatego, że potrafił wychowować sobie liczne grono zapaleńców sztuki filmowej i pełnych inicjatywy i chęci do pracy działaczy ruchu klubowego. Klub mielecki utrzymuje też stały kontakt z bratnią placówką w Stalowej Woli, z którą chętnie dzielą się doświadczeniami.

Pomocy w ożywieniu działalności na pewno potrzebują kluby w Przemyślu i w Lubaczowie. Dobrze się więc stało, że patronat nad lubaczowskim klubem chce przyjąć ZWZMW. Pole do popisu naprawdę duże.

Jesień i okres zimowy zwykle sprzyjają ożywieniu różnych klubów zainteresowań. Dobry więc czas, aby dyskusyjne kluby filmowe przerwały znowu milczenie i przygotowały wspólnie plany działania według rzeczywistych zainteresowań swych członków. W przyszłym roku świat obchodzić będzie 75-lecie kina i kinematografii. Warto tę rocznicę wykorzystać do ożywienia klubów, przekształcenia ich z kin nielubianych w ogniska krzewienia kultury i oświaty filmowej.

Federacja DKF przygotowuje ciekawe cykle szkoleniowe z okazji setnej rocznicy urodzin Lenina, seminarium na temat kinematografii tzw. trzeciego świata i inne.

Dziś trzeba pomyśleć kogo z klubowiczów delegować na seminarium, aby ich uczestnictwo przyniosło korzyść także macierzystym klubom.

M. G.



STANISŁAW MŁODOCHOWSKI — kierownik Oddziału Ogólnego Wyzd. Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Kartki dla Ewy Egoiści

Dwunastoletnie chłopię, dobrze odpasione zajmuje w autobusie miejsce dla inwalidy. Obok siedzi mamusia, czułym wzrokiem lustruje swoją pociechę. Pocięcha dłubie w nosie. Obok stoi mężczyzna wsparty na lasce. Niezbyt pewnie stoi — na prawej nodze ma but ortopedyczny o wysokiej podeszwie. Autobus jest zapelniony, wszystkie siedzące miejsca zajęte. Ktoś mówi do chłopca: „ustąp miejsca temu panu”. Chłopak nie reaguje, za to mamusia krzyczy: „bezcelny, wyrzuca zmęczony dziecko!” Kończy się na tym, że chłopiec zostaje na miejscu dla inwalidy. Siedzi rozparty, uśmiecha się głupio i triumfująco.

Wypadek drugi. Młoda kobieta ustępuje miejsca babci z wnuczką. Babcia grzecznie dziękuje i sadza dziecko. Kobieta protestuje, wyprasza smarkulę z ławki i znów siada. Babcia ma niewyraźną minę, patrzy... patrzy i z wściekłością mówi: „krowa! siedzieć jej się zachciewa, a dziecko nóżki bolą”. Dziecko, licząc na oko ma lat chyba piętnaście.

Komentarz do tych wydarzeń jest zbędny. Przyszło mi tylko na myśl, że zarówno mamusi, jak i babci można by wlepić mandat za głupotę. Wielka szkoda, że nie ma takich mandatów.

Taryfa ulgowa dla smarkaczy mających zdrowe nogi, serce i płuca obowiązuje nie tylko w autobusach. Widuje się kobiety obciążone ciężkimi siatkami i pakunkami wracające z zakupów w towarzystwie nastoletnich pociech, którym do głowy nie wpadnie, że trzeba pomóc. Powtarzają im przecież od dzieciństwa, by się nie przemęczały, nie podźwignęły, nie przepracowały, zdrowie rzecz cenna. Cóż więc dziwnego, że dryblas mocny jak koń, który cały dzień potrafi kopać piłkę nie kwapi się nosić ziemniaków w siatce, lub wiadra węgla. Jeszcze od tych wysiłków dostanie przepukliny i będzie leżał w łóżeczku. Trzeba się oszczędzać, nawet butów sobie nie czyścić. Bliższy kontakt z pastą groid egzema lub jakimś innym schorzeniem, a w ogóle „stara” robi to lepiej. „Starzy” jak bowiem powszechnie wiadomo są od roboty, od stania w autobusie, od stania w kolejkach, od wszelkiej pracy fizycznej. Są także od dawania pieniędzy. Za to przyszłość należy do młodych. Oni już sobie tą przyszłość urządzają po swojemu. Pierwszą zasadą będzie: szanuj się bracie, nie bądź frajer!

Egoiści? Skądże znowu! Oni tylko stosują się pilnie do naszych zaleceń przekazywanych od dzieciństwa, od najmłodszych lat, w których wpajaliśmy im przekonanie, że są pierwsi w rodzinie, pierwsi w szkole, w kamienicy, ba... w całym świecie. Pieczołowicie wpajaliśmy te przekonania o genialności i stworzeniu do wyższych celów, aż wyrosły jedyne w swoim rodzaju okazy chamawatych egoistów, którzy, co gorsza, nie zdają sobie z tego sprawy i są dogłębnie przekonani o swojej absolutnej wyższości.

Niejeden taki ancyfonek, któremu życie czasem daje w kość, czuje się teraz ciężko skrzywdzony. Szuka winy u innych i mści się na innych za własne niepowodzenia, za brak sympatii u ludzi, za niechęć. A zaczyna się zwykle od jakichś tam drobniaków w dzieciństwie. Od tego, że dziecko wszystko wolno, że nie nakłada się nań żadnych obowiązków, nie stawia wymagań. Później przez całe życie chce się mieć szczególnie przywileje. I zdobywa się te przywileje kosztem drugich.

Powiedział ktoś — „Nie rozumiem, skąd biorą się na świecie starzy idioci, skoro tyle jest genialnych dzieci”. Można uzupełnić tę złotą myśl: „Skąd biorą się dorośli egoiści i dranie, skoro tyle na świecie jest dobrych dzieci”.

BEGA

ZDARZENIA TYGODNIA

● Pod znakiem przyjaźni i braterswa narodów Polski i Związku Radzieckiego uptonęła większość imprez kulturalno - oświatowych, organizowanych w ubiegłym tygodniu na Rzeszowszczyźnie w ramach Dni Kultury Rosyjskiej. W Mielcu i Rzeszowie entuzjastycznie przyjęto występy Krasnojarskiego Zespołu Tańca Narodów Syberyjskich. Ci zaś miłośnicy folkloru rosyjskiego, którzy nie dostali biletów, obejrżeli jedynie fragmenty tańców oraz bardziej ciekawe figury, uchwycone kamerą fotoreportera „Nowin Rzeszowskich” — Michała Kopcia, autora zdjęć zgromadzonych na wystawie w Klubie MPiK w Rzeszowie, która czynna będzie do 30 bm. Podobal się też kinomanom film produkcji radzieckiej, pt. „Bracia Karamazon”, który wyświetlono na inaugurację Festiwalu Filmów RFSRR.

● Poseł na Sejm, prezes Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza” — Stanisław Wroński, spotkał się w Klubie MPiK w Rzeszowie z księgarzami naszego województwa. Poinformował on najpierw zebranych o przebiegu pierwszej sesji sejmowej, a następnie mówił o sprawach wydawniczych. Wiele miejsca poświęcił literaturze społeczno - politycznej i zbliżającej się imprezie, organizowanej pod hasłem: Człowiek — Świat — Polityka, propagującej właśnie dobre książki z tej dziedziny.

W dyskusji, jaka się następnie wywiązała księgarze wysunęli dużo krytycznych uwag pod adresem różnych wydawnictw. Narzekano na przestarzałe, nie odpowiadające aktualnym potrzebom społeczeństwa formy rozprawiania książek, na ich złą jakość drukarską i intrzygatorską oraz nieudolną reklamę.

● Niestabnym powodzeniem cieszy się program kabaretowy w wykonaniu zespołu „Meluzyna”, przygotowany z okazji 20-lecia „Nowin Rzeszowskich”. Występ, który odbył się w miniony czwartek, w kawiarni Domu Kultury WSK, znowu zgromadził komplet widzów przy stolikach.

● W Wojewódzkim Domu Kultury rozpoczął się 20 bm. dziesięciodniowy kurs kwalifikacyjny II stopnia dla instruktorew tańca. Bierze w nim udział 20 uczestników z PDK oraz powiatowych poradni kulturalno - oświatowych województwa rzeszowskiego i kieleckiego. Program obejmuje wykłady z zakresu etnografii, historii sztuki i tańca, tańców narodowych, regionalnych i towarzyskich, pedagogiki, socjologii, kinematografii i innych przedmiotów. Zajęcia prowadzi m. in. Bożena i Janusz Nizańscy, Janina Marcinkowa z Cieszyńska, Barbara Daszkiewicz i Ewa Maścicka z Przemyśla.

● Wzorem telewizyjnego „turnieju miast” rozegrano w Brzyjskiej Woli „Turniej wsi”, który zorganizowany został z inicjatywy Związku Młodzieży Wiejskiej, pow. leżajskiego. W turnieju wzięły udział reprezentacje gospodarzy i sąsiadnej wsi Kuryłowka. W programie zawodów znalazło się wiele ciekawych konkurencji, jak np. mielenie zboża na żarnach, robienie masła, przeciąganie liny, slalom motocyklowy, konkurs śpiewczy oraz sprawności drużyn strażackich. Turniej zakończył się zwycięstwem drużyny z Brzyjskiej Woli.